

Moje spotkania z Jezusem w ubogich: doświadczenie religijne

*Współbraciom Redemptorystom, towarzyszom w drodze do ubogich,
prostemu ludowi z Polski, wśród którego rodziło się nasze powołanie,
ubogiemu ludowi z Bahii, który z otwartym sercem przyjął naszą posługę,
wspomnienia te dedykuję.*

O. Tadeusz Pawlik

Kilka słów wstępu

Biskupi zgromadzeni na V Konferencji Episkopatu Ameryki Łacińskiej i Karaibów, w Aparecida, Brazylia, w Dokumencie końcowym stwierdzają: *"Możemy spotkać Chrystusa w sposób szczególny w biednych, opuszczonych i cierpiących (zob. Mt 25,37-40), wobec których nie możemy pozostawać obojętni, a którzy dają nam świadectwo zaufania, cierpliwości w cierpieniu i nieustannego zmagania się, aby się nie poddać. Jakże często to właśnie ubodzy i cierpiący nas ewangelizują! To właśnie w zaakceptowaniu ich obecności, w zbliżeniu się do nich i w obronie praw tych, którzy są marginowani wyraża się wierność Kościoła wobec Jezusa Chrystusa. Spotkanie z Jezusem Chrystusem w ubogich stanowi wymiar konstytutywny naszej wiary w Chrystusa. Poprzez kontemplację oblicza Chrystusa w ubogich i dzięki spotkaniu z Nim w opuszczonych i cierpiących, których godność On sam nam objawia, rodzi się nasza opcja wobec nich. Nasza przyjaźń z Jezusem Chrystusem sprawia, że stajemy się także przyjaciółmi ubogich i solidarni z ich losem"* (DAP 257).

Centrum Misyjne Redemptorystów z Salwadoru, Stan Bahia, w Brazylii, oddaje do Waszych rąk krótkie opracowanie zawierające osobiste refleksje o spotkaniach z Jezusem w ubogich, autorstwa polskiego misjonarza redemptorysty, Ojca Tadeusza Pawlika.

Jest to świadectwo odzwierciedlające, w sposób tak bardzo prosty, ale też i konkretny, prawdziwość powyżej cytowanego dokumentu. Jest to świadectwo misjonarza, który 35 lat swojej posługi misyjnej poświęcił dla ubogich i opuszczonych, ludzi wydziedziczonych przez współczesną cywilizację z dóbr tego świata, a będących przecież uprzywilejowanymi adresami Dobrej Nowiny Chrystusa.

Ojciec Tadeusz, nazwany "ojcem ubogich" przez tych, wśród których żyje i wypełnia swoje misyjne powołanie, spełniał różnorakie posługi w Bahia.

W Bom Jesus da Lapa, pracując w sanktuarium Dobrego Jezusa i w parafii, do której należy 60-cio tysięczne miasto i ponad 100 wiosek, odznaczał się szczególną wrażliwością na biedę materialną wiernych, organizując dla nich doraźną pomoc. Stawał też z odwagą w obronie najbardziej podstawowych praw ludzkich tych, którzy bezprawnie wyrzucani byli z własnych posiadłości przez chciwych latyfundystów.

W Salwadorze, stolicy Stanu Bahia, będąc przełożonym Wiceprowincji Redemptorystów i przez wiele lat wychowawcą kleryków w naszych domach formacji, prawie codziennie, niestrudzenie przemierzał coraz to nowe dzielnice nędzy, dając początek dziełu ewangelizacji, odwiedzając rodziny, zbierając ludzi na modlitwę i na celebracje liturgiczne, organizując katechezę, przygotowując katechistów świeckich i liderów nowo powstających wspólnot kościelnych, pomagając wiernym w budowie bardzo skromnych kaplic i szkół, spiesząc z pomocą materialną tym, którzy przymierali z głodu, budząc świadomość społeczną i polityczną wśród tych, którzy żyli w prawie całkowitej ignorancji.

Jako członek grupy misyjnej, aż do końca ubiegłego roku, głosząc misję ludową w Stanie Bahia i w wielu innych Stanach, przemierzając setki, a nawet tysiące kilometrów, z cechującą go skromnością, radością i otwartością na każdego człowieka, niósł światło nadziei i Dobrej Nowiny. W swym autentyzmie i wierności charyzmatowi redemptorystowskiemu zawsze wychodził naprzeciw potrzebom, duchowym i materialnym, ubogich, opuszczonych i cierpiących.

To właśnie oni byli i nadal są pasją jego życia. To posługa dla nich, spotkania i przyjaźń z nimi stanowiły i nadal stanowią dla Ojca Tadeusza okazję do głębokich przeżyć religijnych i doświadczenia konkretnej obecności Chrystusa.

I tak jak w życiu i sercu błogosławionego naszego rodaka, papieża Jana Pawła II, ubodzy zawsze znajdowali szczególne miejsce, czego świadectwem są jego przemówienia podczas licznych podróży do krajów trzeciego świata, tak też jest i w życiu naszego współbrata, gdyż to właśnie ubodzy zostali umiłowani w sposób szczególny przez Jezusa.

Niech więc te refleksje misjonarza redemptorysty o spotkaniach z Jezusem w ubogich uwrażliwią jeszcze bardziej nasze serca na potrzeby braci, ponieważ uczniowie Chrystusa nigdy

nie mogą zapomnieć o słowach Mistrza: "*Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili*" (Mt 25,40). On nieustannie przychodzi do nas w człowieku ubogim. Przychodzi w człowieku, w którym brak miłości i prosi o współczucie, brak radości – o uśmiech, brak wsparcia – o radę i dobre słowo. On przychodzi w człowieku samotnym i prosi o obecność, w ubogim i głodnym, który wyciąga rękę z prośbą i który ręki nie wyciąga – o chleb, w zniewolonym przez grzech – o wyrwanie z odmętów zła. Obyśmy umieli Go spotkać w nich.

O. Antoni Niemiec CSsR

Koordinator Centrum Misyjnego Redemptorystów w Bahia

1. Moje spotkania z ubogimi

Zawsze interesował mnie ludzki los. Romano Guardini na początku XX wieku pisał o tragizmie ludzkiego losu. Istnienie ludzkie jest darem Bożym. Od Boga wyszliśmy i do Boga zmierzamy, lecz wędrówka ta jest zmaganiem się z życiem na co dzień. Zmaganiom tym nie dalibyśmy rady, gdyby nie towarzyszyła nam świadomość, że Bóg pielgrzymuje z nami w osobie Jezusa Chrystusa, który w swojej ludzkiej naturze przyjął na siebie ciężar ludzkiego istnienia. *Będąc Panem świata unżył samego siebie i stał się sługą posłusznym do śmierci, i to śmierci krzyżowej*, jak mówi św. Paweł (por. Flp 2, 5-11).

Nieprzypadkowo końcowy dokument spotkania biskupów latynoamerykańskich, które odbyło się w 2007 roku pod przewodnictwem papieża Benedykta XVI, podkreśla, iż spotkanie z ubogimi to uprzywilejowane miejsce spotkania z Bogiem; miejsce doświadczenia religijnego. A znany teolog Karl Rahner pisze: *Bóg przychodzi ze swoją łaską nawet tam, gdzie nie był wzniesiony dla Niego żaden ołtarz*.

To spotkanie z Chrystusem w ubogich przeżył także św. Alfons Maria Liguori – wśród biednych i opuszczonych pasterzy na wzgórzach południowej Italii. Spotkanie to było tak ważne, że doprowadziło go do porzucenia kariery adwokata i podziwianego kaznodziei w katedrze Neapolu.

Pożegnał piękny Neapol, świat arystokracji i kardynałów. Włożył swoje tobołki na wózek ciągnięty przez osła i ruszył w świat ubogich. To właśnie tam, wśród ubogich, zrodziło się Zgromadzenie Najświętszego Odkupiciela. Redemptoryści obecni są dzisiaj w niemal osiemdziesięciu krajach świata.

W 1972 roku grupa polskich Redemptorystów wyjechała do Brazylii, do stanu Bahia. Zostawili oni piękną Ojczyznę, Polskę, jej religijny lud, stosunkowo dobrze sytuowane klasztory, by zamieszkać wśród czarnego ludu Bahii. Lud ten jest dwukrotnie zubożały, gdyż jest czarny i z tego powodu wykluczony z dóbr materialnych tego świata. Z tym to właśnie ludem misjonarze zaczęli dzielić swój los.

Będąc jednym z nich, doświadczyłem przywileju pracowania wśród ubogich przez ponad 35 lat: w dzielnicach nędzy (fawele) dużego miasta Salvadoru, na misjach świętych w bezkresnych rejonach stanu Bahia i jako wychowawca seminaryjny, przez prawie 20 lat, żyjąc wśród kandydatów do Zgromadzenia, którzy wywodzili się z ubożego ludu.

Bogaty jest trudno zostawić wszystko i iść za Chrystusem. Jest to prawie niemożliwe. Doświadczył tego sam Pan Jezus, gdy po rozmowie z bogatym młodzieńcem zobaczył, jak ten młody człowiek *odszedł smutny, gdyż posiadał wiele dóbr* (por. Mt 19, 22).

Wspomnienia wielu spotkań z ubogimi noszę w sercu, gdyż poruszały one moją duszę. Po każdym z tych spotkań stawał mi przed oczyma los Jezusa Chrystusa.

2. Czarny, ale dobry

Zawiadomiono mnie, że niedaleko miasta Bom Jesus da Lapa leży chory, samotny, dogorywający mężczyzna. Wybrałem się, żeby go odwiedzić. Wziąłem ze sobą oleje święte, Najświętszy Sakrament i ruszyłem w sześciokilometrową drogę. Było bardzo gorąco, słońce bezlitośnie prażyło promieniami spaloną już ziemię. Przy wiejskiej drodze stała lepianka. Drzwi były otwarte. Wszedłem do wnętrza. Na prycy przykrytej matą trzciniową leżał mężczyzna silnie zbudowany o błyszczącej czarnej skórze.

– Przyszedłem pana odwiedzić – odezwałem się.

– O jak to dobrze, bo jestem sam – odpowiedział.

Ale zaraz się poprawił:

- Nie jestem sam, bo Dobry Jezus jest ze mną. Żona mi umarła, synowie wyjechali do São Paulo osiemnaście lat temu i nie ma od nich żadnej wiadomości. Jestem tak słaby, że nie mogę się utrzymać na własnych nogach. Gdy byłem młody, pracowałem na fazendach. Byłem zdrowy i tak silny, że sam dźwigałem grube pnie. Pracy miałem dużo, gdyż byłem uczciwy. Czarny, lecz uczciwy.

Kolonizatorzy portugalscy wbili do głowy czarnemu ludowi, że Murzyn to leń i złodziej, że czarny jest brzydki i cuchnący.

Najbardziej perwersyjnym owocem kolonizacji było to, że wmówiono tubylcom, że są nic niewarci; była to kolonizacja umysłu.

– Przyniosłem Pana Jezusa. Chce pan Go przyjąć? – zapytałem.

– Jakżeby nie chciał? Jestem ochrzczony, ale nigdy się nie spowiadałem – odpowiedział.

Nawet nie miał świadomości grzechu. Zawsze żył zgodnie z prawem natury. Pracował ciężko, nigdy nie dochodził swoich praw. Był wyzyskiwany i upokarzany. Człowiek drugiej kategorii, który pogodził się ze swoim losem. Nie miał innego wyjścia.

Porozmawiałem z nim, dałem mu Komunię św., wyjaśniając, że w tym białym opłatku jest Pan Jezus, który chce mu towarzyszyć w tej trudnej drodze.

– Jestem już stary i schorowany, ale jeszcze mam dość siły, aby spotkać się z Dobrym Jezusem – powiedział.

W drodze powrotnej myślałem: „Czarnemu ludowi odebrano wszystko, lecz nie odebrano mu ufności i nadziei na lepszy dzień”.

Dziękuję Ci, Ojczy, że objawiłeś te rzeczy małuczki i prostaczkom, a zakryłeś je przed mądrymi – mówi Pan Jezus (por. Mt 11, 25).

3. Jesteśmy głodni

Brazylia nigdy nie przeprowadziła reformy rolnej. Do tej pory panoszy się tu prawo dzungli, prawo przemocy. Kto zagarnie więcej ziemi, ten jest bogatszy. Siła robocza jest bardzo tania. Masy czarnych, byłych niewolników, pracują w upale dnia za marne wynagrodzenie, które pozwala im jedynie na to, by przeżyć. Otrzymali wolność, ale nie dano im środków do życia, dlatego kontynuują je jako nowi niewolnicy.

Wielu z nich, aby poprawić swój los, zagarnęło dla siebie kawałek bezpańskiej ziemi, aby coś uprawić i utrzymać siebie i swoją rodzinę. Nie posiadają oni jednak żadnego dokumentu własności. Nie miał im kto nadać tego prawa, bo ziemia była niczyja.

Niektórzy z bogatych właścicieli ziemskich, wiedzeni niepohamowaną żądzą zysku i posiadania, wypędzali małorolnych chłopów z ziemi na podstawie fałszywych dokumentów, przy współpracy przekupionych sędziów i policji czy też opłaconych i uzbrojonych najemników.

Pewnego razu, gdy pracowałem w Bom Jesus da Lapa, przyszedł do mnie małorolny chłop, mówiąc:

– Tylko ojciec może mi pomóc. Bogaty właściciel ziemi zburzył ogrodzenie mojego gospodarstwa, wpuścił tam swoje bydło, które zniszczyło wszystko, co miałem obsiane i zasadzone. Co ja dam jeść moim dzieciom?

Poszliśmy razem do bogatego właściciela.

– Jak mógł pan wejść bezprawnie na cudzą własność i zniszczyć cały dorobek sąsiada. Jak on wyżywi rodzinę przez cały rok? – zapytałem.

– Niech ojciec mi pokaże dokument, że to jest jego własność – odpowiedział. – On ma dzieci, a ja mam bydło, które potrzebuje przestrzeni na pastwiska.

Zysk i bydło miało dla niego większą wartość niż ubogi człowiek i jego małe dzieci. Nie darmo Pan Jezus ostrzegał, że bogaczowi trudno będzie wejść do Królestwa Bożego (por. Łk 18, 24).

Własność prywatna i zysk to podstawowa zasada kapitalizmu.

Na każdej własności prywatnej ciąży hipoteka społeczna – mówił Ojciec Święty błogosławiony Jan Paweł II podczas swej pielgrzymki do Brazylii, do rolników, którzy wołali: – Ojczy Święty, jesteśmy głodni.

4. Nie zmarnowała życia

Nigdy nie wyszła za mąż. Była czarna. Pragnęła założyć rodzinę, lecz lata minęły i nie zdołała zrealizować tego marzenia. Jej bracia ożenili się i wyjechali do São Paulo za chlebem, w poszukiwaniu lepszych warunków życia. Ona została w domu, aby opiekować się starymi, schorowanymi rodzicami. Tak mijały lata.

– Dziś mam już 68 lat. Rodzice pomarli i zostałam sama. Zawsze lubiłam dzieci – zwierzyła mi się. – Do naszej wioski ksiądz przyjeżdżał raz w roku, odprawiał Mszę św., chrzczył

dzieci i odjeżdżał. Dzieci z sąsiedztwa nic nie wiedziały o Bogu; nie umiały się modlić, rosły „na dziko”. Postanowiłam je katechizować. W domu miałam stary katechizm. Co niedzielę zbierałam dzieci w cieniu rozłożystego drzewa i wyjaśniałam, jak umiałam, prawdy wiary. Mówiłam im, że nie wolno kraść, kłamać, że trzeba słuchać rodziców i pomagać biednym, bo tak chce Pan Jezus. Wyjaśniałam im, że gdy jest sprawowana Msza św. Pan Jezus jest obecny w białej Hostii, którą kapłan podnosi do góry i okazuje ludowi. Powoli przygotowałam grupę dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunii św. Dzisiaj w naszej osadzie – wskazywała domy ręką – wszyscy wiedzą, kto to jest Pan Jezus. Dlatego mam wiele radości w sercu, że nie zmarnowałam mojego życia.

Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie – mówi Jezus (por. Łk 18, 16).

Przypomniały mi się słowa św. Augustyna: *Służyć Chrystusowi, to największy zaszczyt, gdyż tylko On jest Prawdą.* Móc poznać Jezusa to najlepszy podarunek, jaki człowiek może otrzymać; to najpiękniejszy moment w naszym życiu. Naszą największą radością jest, gdy komuś, przez nasze słowa i gesty, możemy dać poznać Jezusa, aby Go mógł umiłować, iść za Nim i Jemu służyć.

5. Potrzebujący

Na obrzeżach Salvadoru, gdzie pracowałem przez wiele lat, powstała jeszcze jedna dzielnica nędzy (po portugalsku: fawela), duże skupisko ludzi. Zajęli oni piaskowe obrzeża nad podmokłymi terenami znajdującymi się w dole. Tereny te nie nadawały się do zamieszkania ani na żadną trwałą budowę, ale ubodzy i bezdomni zajęli je i tam się osiedlili. Pobudowali swoje szałas – baraki z kawałków starych desek – i przykryli je eternitem. Podmokłe tereny zasypali piaskiem i utwardzili gruzami. Była to pierwsza „urbanizacja”.

Policja chciała ich wypędzić, ale ludność się oparła. W centrum tego osiedla zbudowaliśmy kaplicę. Była to niewielka sala przeznaczona na celebracje i spotkania, tak nędzna jak całe otoczenie. W ten sposób powstała wspólnota kościelna pod wezwaniem Matki Bożej Aparecida, specjalnie obranej Patronką wspólnoty, aby chroniła swój biedny czarny lud, tak bardzo podobny do Jej figury z wypalanej gliny.

Wielokrotnie odwiedzałem ludzi mieszkających w tych nędznych chatkach. Podczas jednej z wizyt spotkałem młodego, 23-letniego mężczyznę na wózku inwalidzkim. Obok niego stała młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Czuć było od niej alkohol. W chacie nie było mebli, w kącie stała kuchenka gazowa, drewniane prycze, a z boku ława ze starej deski.

– Co się stało, że jesteś na wózku inwalidzkim? – zapytałem.

Opowiedział mi swoją historię.

– Nie mam pracy, kobieta urodziła dziecko, nie mogłem pozwolić, aby była głodna. Pewnej nocy poszedłem do mieszkania bogatej rodziny i wziąłem telewizor, zamierzałem go sprzedać i kupić żywność. Owinąłem go w płótno i przeskakiwałem przez niewysoki mur. Gdy byłem już na murze, zauważył mnie strażnik i strzelił do mnie. Kula utkwiała w kręgosłupie. Zawieziono mnie do szpitala. Lekarze powiedzieli, że operacja będzie kosztowała 20 tysięcy dolarów. Skąd ja wezmę 20 tysięcy dolarów? Jestem skazany na paraliż do końca życia i na wegetację na wózku inwalidzkim. Tylko Bóg mi pozostał.

Nie mogłem mu pomóc. Założyłem mu na szyję krzyżyk, który miałem ze sobą.

Kto chce być Moim uczniem, niech weźmie swój codzienny krzyż i idzie za Mną – mówi Jezus (por. Mt 16, 24). Mnie pozostało tylko pomóc mu w dźwiganiu krzyża, by nie upadł pod jego ciężarem.

6. I nie było wśród nich potrzebujących

Mała osada zamieszkała przez blisko 50 rodzin. Ludzie żyli z uprawy fasoli, ryżu, manioku. Uprawiali też banany i pomarańcze. Koło domów gdały kury. To, co zebrali, mieli na swoje utrzymanie, a to, co zbywało, sprzedawali w pobliskim miasteczku.

– Tu żyjemy tylko dzięki Opatrzności Bożej. Nie mamy szkoły, lekarza. Gdy ktoś zachoruje, jest trudno – mówili.

Odrapane lepianki, w których wnętrzu nie ma żadnych mebli – wszystko to świadczyło o ubóstwie, w jakim żyje lud. Przebywałem wśród tych ludzi przez kilka dni. Na zakończenie mojego pobytu odprawiłem Mszę św. przed jednym z domów.

Po Komunii św. młoda dziewczyna poprosiła o możliwość skierowania do zebranych kilku słów. Odezwała się do zgromadzonych ludzi:

– Tak jak obecny tu misjonarz nam wyjaśnił, Pan Jezus przyszedł do nas i nie możemy pozwolić, żeby wśród nas ktoś cierpiał głód i był opuszczony. Między nami mieszka znana nam wszystkim samotna staruszka, która nie ma żadnych środków do życia. Musimy się nią zająć. Zorganizujemy naszą pracę. Dzieci będą odtąd sprzątały jej dom. Kobiety opiorą ją, a każda rodzina raz w tygodniu zanieśie jej trochę ryżu, fasoli, mąki z manioku, cukru i kawy, żeby nasza sąsiadka nie cierpiała głodu.

Wszyscy przystali na tę propozycję, a największy entuzjazm wykazały dzieci. Od razu chciały zająć się sprzątaniem domu staruszki.

Nie darmo uczestniczyli w Eucharystii.

Pan Jezus wziął chleb i rozdawał swoim uczniom: Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy (por. 1 Kor 11, 23-24).

Nie powinieneś odrzucać potrzebującego. Będiesz miał wszystko wspólne ze swoim bratem, ponieważ jeżeli dzielimy się dobrami nieśmiertelnymi, tym bardziej powinniśmy się dzielić dobrami doczesnymi – mówił św. Bazyli.

7. Wierność

Nad Rzeką św. Franciszka, w stanie Pernambuco, położone jest niewielkie miasto o indiańskiej nazwie Cabrobó. Wielu mieszkańców miasta i okolicy trudni się uprawą cebuli, która jest bardzo tania, do tego stopnia, że praca staje się prawie nieopłacalna. Liczni rolnicy, wiedzeni chęcią większego zysku, uprawiają w niedostępnych terenach marihuanę. W mieście dochodzi do wielu zabójstw, gdyż przemyt narkotyków jest bardzo rentowny, ale też niebezpieczny, a policja stara się temu zapobiec, posługując się często przemocą.

W tej to właśnie miejscowości głosiliśmy Misję św. Jak to jest w zwyczaju, w czasie głoszenia Misji odwiedzaliśmy ludzi obłożnie chorych, którzy z powodu swego stanu zdrowia żyją w opuszczeniu i z dala od praktyk religijnych. Małe domki nad Rzeką św. Franciszka, zbudowane ze zbitej gliny, były chłodniejsze, gdyż ich ściany nie przepuszczały tropikalnego gorąca. Gliniane ściany sprzyjały jednak gnieźdzeniu się w nich niebezpiecznych insektów, takich jak na przykład „barbeiro”, dużego owada z rodziny pluskwiaków, którego ukąszenie powoduje śmiertelną chorobę serca.

Wszedłem do jednego z tych domów. W przedsionku, przy otwartych drzwiach, na twardym łóżku ze zbitych desek leżała kobieta. Pozdrowiłem ją, mówiąc: – Boa tarde (tzn. dobrego popołudnia). – Boa tarde – odpowiedziała. Była sparaliżowana, po wylewie. Jej twarz była wyschnięta, naznaczona cierpieniem i rezygnacją.

– Już dziewięć lat leżę nieruchoma na tym łóżku – powiedziała.

– Kto się panią opiekuje? – zapytałem.

Odpowiedziała:

– Kto? A mój mąż. Żyje z emerytury i dorabia łowieniem ryb w Rzece św. Franciszka. On gotuje obiad, on mnie karmi, on mnie kąpie i czasem, z pomocą sąsiadów, wynosi mnie z łóżkiem na świeże powietrze. Bóg dał mi ciężki krzyż, ale dał mi też dobrego męża, który mnie nie opuścił.

Przypomniały mi się słowa przysięgi małżeńskiej: *Biorę cię za żonę i przyrzekam ci miłość i wierność w radości i smutku, w zdrowiu i chorobie, i że cię nie opuszczę aż do śmierci.*

8. Msza św. na kanale ściekowym

Salvador, stolica stanu Bahia, trzymilionowe miasto, otoczony jest dzielnicami nędzy (*favelas*). Fawela to duże skupisko ludzi, którzy pobudowali swoje domy ze starych desek, z blachy, tektury i eternitu. Mieszkają tam ludzie ubodzy, stłoczeni na małej przestrzeni. Są oni pozbawieni podstawowych warunków do godnego życia. Na faweli policja poszukuje

narkotyków, na faweli zabija się ludzi bez żadnego wyroku. Niestety, Kościół katolicki jest nieobecny w większej części dzielnic nędzy.

Odwiedziłem już wiele faweli, ale jedna z nich najbardziej utkwiała mi w pamięci i szczególnie mnie poruszyła ze względu na swoją tragiczną sytuację. Nazywała się Novos Alagados. „Alagados” w tłumaczeniu na język polski znaczy „zatopieni”, to teren zalany przez morze. Ludzie pobudowali sobie domki na palach wbitych w dno zatoki morskiej. Domy połączone były drewnianymi kładkami i mostkami, które pełniły rolę ulic.

Kiedy był odpływ morza, w domu cuchnęło zgniłym błotem. Kiedy był przyptyw, brudna woda wlewała się do domu pomiędzy szczelinami desek podłogi.

Wraz z pewną siostrą zakonną odwiedzałem mieszkańców tego dziwnego skupiska ludzi. Wysłuchiwałem ich skarg na trudny los, jaki im zgotowało życie. Młoda kobieta, trzymając na ręku dziecko, żaliła się: – Ojcze, dzisiaj jeszcze nic nie jadłam (a była to już czwarta po południu) i najgorsze jest to, że nie mam nic w domu, żeby włożyć do garnka.

Inni skarżyli się na bóle reumatyczne, na śmiertelne wypadki dzieci, które wpadły do wody z chwiejących się mostków. I tak ludzie przyzwyczaili się współżyć z nędzą i śmiercią.

Lud, który tutaj mieszka, wyemigrował z wiosek, przybył do miasta w poszukiwaniu lepszego życia. W wioskach nie było szkół dla dzieci. Wielu z nich zostało wypędzonych ze swojej ziemi przez możnowładców. Mieszkają w błocie, gdyż nie widzą perspektywy na lepsze życie. Stąd tylko śmierć może ich zabrać. Tereny, na których się osiedlili, nie są potrzebne nikomu. Nie nadają się do produkcji ani do hodowli zwierząt, lecz służą jako miejsce zamieszkania dla ubogich.

Mieszkańcy faweli Novos Alagados to dobry i religijny lud. Nieobecność Kościoła i brak ewangelizacji sprawiają, że ludzie stają się ofiarami wszelkiego rodzaju sekt, które obiecują im zbawienie wieczne po tym marnym życiu. Kościół katolicki cierpi na chroniczny brak powołań kapłańskich i zakonnych, a ci, którzy dochodzą do kapłaństwa, które promuje ich społecznie, nie chcą wracać do nędzy, z której wyszli. Zdobyli to, czego nigdy nie mieli.

Sytuacja, w której żyje ten lud, to skutek egoizmu, nieokiełznanej żądzy bogactwa i bezdusności polityków, którzy są naznaczeni piętnem kolonializmu.

Pewnego wieczoru celebrowałem Eucharystię razem z tym ludem. Ludzie postawili stół na dużym kanale ściekowym, było to jedyne suche miejsce w okolicy. Przez kanał spływają do morza ścieki z miasta. Ścieki spływające kanałem i cztery tysiące rodzin, które tam mieszkają, mają tę samą wartość dla dzikiego kapitalizmu.

Podczas Mszy św. czułem obecność Chrystusa Ukrzyżowanego, wyrzuconego poza mury Jerozolimy. Lud wygłodniały, przedmiot drwin i obelg, jako ten, który się nie liczy w statystykach stabilności ekonomicznej. Gdy celebrowałem Mszę św., przyszło mi na myśl zdanie, które niegdyś przeczytałem: *Dokąd będzie istniał jeden człowiek głodujący na świecie, chrześcijanie nie mają prawa odprawiać Eucharystii*. A ja miałem przed sobą cztery tysiące rodzin żyjących u wylotu kanału. Celebrowałem obecność Chrystusa Ukrzyżowanego w swoim ludzie. Zwycięski zmartwychwstały Pan jeszcze się nie ukazał, żebym razem z uczniami mógł zawołać: *Widzieliśmy Pana!* (por. J 20, 25).

Z piersi tych ludzi wciąż wyrывa się modlitwa Jezusa konającego na krzyżu: *Boże mój, czemuś mnie opuścił* (por. Mt 27, 46).

9. Nie mogę zdradzić

Przyjechała z pielgrzymką do sanktuarium Dobrego Jezusa z Groty. Cały rok pracowała w apartamentach bogatych pań w Itabunie, na południu stanu Bahia, aby zarobić pieniądze na daleką podróż do Bom Jesus da Lapa. Zarobiony grosz oszczędzała. Jej marzeniem było, by przynajmniej raz w życiu odwiedzić sanktuarium Dobrego Jezusa.

– Przyjechałam, żeby podziękować za zdrowie i za to, że Pana Jezusa nigdy nie zdradziłam – mówiła. – Dwa lata temu przyszedł do mojego domu pastor protestancki i pouczał: „Tylko Słowo Boże może zbawić! Katolicy uprawiają bałwochwalstwo i będą potępieni”. Zaprosił mnie do swojego kościoła i zaczęłam do niego uczęszczać. Mimo to codziennie odmawiałam Różaniec. Pastor wiedział o tym. Po kilku miesiącach, podczas rozmowy

powiedział mi: „Będiesz mogła uczęszczać do mojego kościoła pod warunkiem, że porwiesz różaniec. Maryja to zwykła kobieta, tak jak ty. Porzuć to bałwochwalstwo!”. Wróciłam do domu i wieczorem odmówiłam Różaniec. Ja, która kocham Pana Jezusa, myślałam: nie mogę porzucić Jego Matki. Matka Boża Aparecida w swojej cudownej figurze jest tak czarna jak ja i Ona zawsze opiekowała się mną! Powiedziałam więc pastorowi, że ja nie mogę zdradzić mojej Matki. W ten sposób wróciłam do Dobrego Jezusa.

Maryja rzekła: *Wielbi dusza moja Pana, bo wejrzał na pokorę swojej służebnicy. [...] Rozprasza zamysły pysznych i przygarnia pokornych* (por. Łk 1, 46-55).

10. Jakaś kobieta nauczyła mnie tej modlitwy

Staruszka mieszkała wraz ze swoją córką w niewielkim skupisku ubogich domków. Mała chałupina otoczona była wysokimi zielonymi palmami, gdyż było to w nadmorskim rejonie, na południu stanu Bahia. Opady deszczu są tam obfite, stąd też dużo tam jest zieleni. Kobieta była niewidoma. Zapytana o powód ślepoty opowiadała:

– Gdy miałam siedem lat, poszłam łączyć suchych gałęzi, żeby zapalić w kuchni. W drodze powrotnej do domu, jadąc na koniu, wiozłam wiązkę gałęzi. Nagle koń się spłoszył, zaczął galopować, a trzymane gałęzie wybiły mi oczy i tak od dzieciństwa jestem niewidoma. Gdy dorosłam, jakiś mężczyzna mnie wykorzystał. Urodziłam córkę, która się mną opiekuje. Córka też ma pokrzywione życie.

Widząc, że przyszedł kapłan z Najświętszym Sakramentem, córka weszła do domu, by razem z matką odmówić modlitwę. Z gwoździa wbitego w ścianę zdjęła białą bluzkę i pomogła ubrać się matce, aby ta mogła przyjąć Pana Jezusa. Staruszka usiadła na ławie pod ścianą. Odmówiliśmy razem „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”. Podałem jej Komunię św.

Po przyjęciu Pana Jezusa niewidoma półgłosem wymówiła modlitwę: – Panie Jezu, dziękuję Ci, że przyszedłeś do mnie, grzesznicy. Otwórz mi niebo, abym razem z Maryją Dziewicą i z Aniołami mogła patrzeć na Ciebie.

– Skąd pani umie taką piękną modlitwę? – zapytałem.

– Gdy byłem jeszcze dzieckiem, jakaś kobieta nauczyła mnie modlić się – odpowiedziała.

Przypomniał mi się hymn eucharystyczny świętego Tomasza z Akwinu: *Wzrok, dotyk, smak, o Tobie nie mówią nic do mnie. Słuchowi tylko wierzy me serce niezłomnie.*

11. Bóg nie zapomniał o mnie

Było około drugiej po południu. Z jednej z wiosek naszej parafii przyjechał na koniu mężczyzna i zapukał do naszego domu. Przebył on 30 km, aby dojechać do miasta.

– Ojcze, przyjechałem prosić, żeby Ojciec pojechał do naszego domu, na wioskę i zawiózł mojej mamie Pana Jezusa. Ukończyła ona już 90 lat życia i w każdej chwili Bóg może ją zabrać do siebie – powiedział.

Wsiadłem razem z mężczyzną do samochodu terenowego i ruszyliśmy w drogę. Naokoło ziemia spalona od słońca. Już dziesięć miesięcy nie padał deszcz. Wysuszone, nagie krzaki, żadnego znaku życia. Pustynia. Tylko tumany kurzu unosiły się spod kół samochodu, szczypiąc niemilosiernie w oczy.

– Jak wy tutaj możecie żyć na tej pustyni? – zapytałem.

– Ojcze, nasze życie tutaj to wegetacja zapomnianych. Nie mamy wody, nie ma szkoły dla dzieci, nie ma lekarza. Nasze życie na tym pustkowiu jest podobne do egzystencji zapomnianego, bezpańskiego zwierzęcia – odpowiedział mężczyzna.

Dojechaliśmy do celu. Zobaczyłem niedużą chatę z gliny, w której mieszkała rodzina. Weszliśmy do małej izdebki, w której dogorywała staruszka o spalonej słońcem twarzy.

– Przyniosłem pani Dobrego Jezusa – powiedziałem.

– Niech Bóg ojcu wynagrodzi. Żyję już na tym pustkowiu dziewięćdziesiąt lat. Dwa razy do roku szłam pieszo do Dobrego Jezusa, by prosić Go o zdrowie i opiekę. Życie miałam bardzo trudne. Czasem dokuczał nam głód. Dzisiaj Dobry Jezus przyszedł do mnie. Chcę iść z Nim na tamten świat – powiedziała.

Podałem staruszce Komunię św. Odmówiliśmy razem „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”. Położyłem ręce na jej wyschniętym od słońca czole, udzielając jej błogosławieństwa.

– Niech Bóg ojcu wynagrodzi! – rzekła, gdy odchodziłem.

Ruszyłem w drogę powrotną. W głowie snuły mi się różne myśli o opuszczeniu tego ludu, o nieczułości rządzących i polityków, którzy nie dbają o lud. Myślałem o tym, po co ja tu przyjechałem, o prostocie wiary staruszki i jej rodziny; staruszki, która przeżyła 90 lat z dala od miast i cywilizowanego świata. Nie widziała nigdy pięknych katedr i kościołów. Ale jej dusza była piękną katedrą, w której zamieszkał Pan Jezus. Dobrze, że tu przyjechałem, gdyż świat opuszczonych, to świat Redemptorystów. Bóg nie zapomniał o staruszce.

Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swojego łona? A nawet gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie (Iz 49, 15). Tak mówi Słowo Boże!

12. Umarli też śpiewają

Na obrzeżach Salvadoru, w dzielnicy Águas Claras znajduje się wydzielony teren, gdzie mieszkają ludzie dotknięci trędem. Brak higieny, niedożywienie, różnego rodzaju insekty sprawiają, że w naszym rejonie ludzie dość często zapadają na tę chorobę. Trędowaci są izolowani od reszty społeczeństwa.

Kolonia trędowatych to domki, osobne dla mężczyzn, osobne dla kobiet. W centrum kolonii zbudowana jest kaplica. Co tydzień przyjeżdża tam lekarz. Razem z chorymi mieszka tam od wielu lat pani Maria, Włoszka, wolontariuszka. Jest z nimi na co dzień, rozmawia, pociesza, rozwiązuje ich codzienne problemy. Trędowaci nazywają ją Matką.

Na zaproszenie pani Marii wiele razy odwiedzałem kolonię. Przeprowadziliśmy też razem z O. Franciszkiem Mickiem Misję św. wśród trędowatych. Podczas tych spotkań zetknąłem się z mężczyzną, który wówczas miał 58 lat. Opowiadał on: – Ojcie, gdy przyszedłem tutaj, miałem 14 lat. Dziś mam już 58. Wszystkie te lata przeżyłem tutaj z dala od rodziny, od bliskich.

Jego palce u rąk i nóg były zniekształcone, przeżarte trędem. Miał gitarę. Lubił śpiewać. Ujął w swoje ręce instrument i kikutami palców wydobywał ze strun melodię. Z jego piersi wyrwała się pieśń. Śpiewał dla Matki Bożej, która dzięki modlitwie różańcowej, którą codziennie odmawiał, pozwoliła mu trwać: „Maryja z Nazaretu, Maryja mnie zauroczyła. Umocniła moją wiarę i przyjęła mnie za syna!”.

Kończąc śpiew, powiedział: – Ojcie, umarli też śpiewają! Trędowaci to nie miasto umarłych, lecz żywych przez Wiarę i Nadzieję, że Chrystus jest z nimi. To dla Niego oni żyją i śpiewają.

Dla nich poświęciła swoje życie Maria, kobieta z północnych Włoch, pamiętając o słowach Jezusa, który przed Męką powiedział: *Za nich poświęcam swoje życie!* (por. J 10, 17).

13. Malwiny – trudne życie

Wzdłuż szerokiej, wielopasmowej szosy prowadzącej z Salvadoru na międzynarodowe lotnisko usadowiła się wielka fawela licząca 36 tysięcy mieszkańców. Piękne zielone tereny były wcześniej niezamieszkałe. Ziemia ta należała do bogatych firm, w których swoje udziały miał między innymi gubernator stanu Bahia.

Ubogi lud w poszukiwaniu miejsca na osiedlenie się, budowę domów zaczął zajmować te podmiejskie tereny. Co jakiś czas przyjeżdżała policja, by zburzyć powstające szałas. Właściciele tych terenów zamierzali tam, wzdłuż pięknej szosy budować apartamenty, biurowce, centra handlowe.

Jak opowiadali mieszkańcy dzielnicy nędzy, swoje szałas mieszkalne budowali nocą, podczas karnawału, kiedy policja zajęta była pilnowaniem porządku w mieście, a bogaci się bawili.

Jadąc z Salvadoru na lotnisko, zadałem sobie pytanie: „Kościół katolicki jest obecny wśród tego ludu?”. Pewnej niedzieli wraz z ojcem Markiem Piątkiem postanowiliśmy odwiedzić tych ludzi. Zdziwili się oni tymi odwiedzinami i mówili: – Tutaj jeszcze nigdy nie stanęła stopa księdza lub siostry zakonnej.

Ludzie ci pochodzili z różnych stron stanu Bahia, a nawet z sąsiednich stanów. Przybyli do Salvadoru, aby szukać pracy i znaleźć lepsze warunki życia. W niedzielę, po tych

odwiedzinach, odprawiliśmy pierwszą Mszę św. Nie było tam jeszcze żadnego kościoła ani kaplicy. Na błotnistej ulicy kobiety ustawiły stół i przykryły go czystym obrusem.

Później, bez pozwolenia władz miejskich, bez prawa własności zajętej działki, razem z ludem rozpoczęliśmy budowę kaplicy. W ten sposób powstawały kaplice Matki Bożej Królowej Pokoju, Matki Bożej Aparecida, św. Gerarda i Matki Bożej Nieustającej Pomocy, Chrystusa Odkupiciela i św. Józefa. Nie było pieniędzy, nie mieliśmy dokumentu własności, ludzie budowali kaplice z drewnianych płyt i malowali je białą farbą olejną.

Władze miejskie oraz właściciele terenów robili wszystko, żeby ludzi stamtąd usunąć. Nasyłali policję i różnego rodzaju uzbrojonych bandytów, którzy do nich strzelali. Ale ludzie już nie byli sami – był z nimi Kościół. Nasi klerycy w soboty i niedziele jechali tam, aby organizować katechezę dla dzieci i młodzieży.

W pewien deszczowy dzień pojechałem samochodem do jednej z kaplic na faweli. Na ulicy było takie błoto, że nie dało się dalej jechać. Zostawiłem więc samochód i z sandałami w ręku wszedłem do jednego z domków. Zebrała się spora grupa ludzi. Deszcz nadal padał. Zebrani ludzie opowiadali historie swojego życia i o miejscach, z których przybyli. Mówili, że zajmując dzielnicę nędzy, czuli się jak bezdomny pies, który błąka się po bezdrożach, odpędzany przez wszystkich. – Takie jest nasze życie – mówili.

Słuchałem tych opowiadań, ale nadszedł czas, by wracać do domu. – Niech ojciec jeszcze zostanie, tak przyjemnie się nam rozmawia – prosili.

W drodze powrotnej przyszły mi na myśl słowa – prośba uczniów z Emaus, którzy byli jeszcze zastraszeni tym wszystkim, co się wydarzyło w Wielki Piątek: *Zostań z nami, Panie, bo ma się ku wieczorowi* (por. Łk 24, 29).

14. Pan Jezus w drodze

Przy wejściu do sanktuaryjnej grotty Dobrego Jezusa w Bom Jesus da Lapa znajduje się boczny ołtarz, na którym stoi duża, naturalnej wielkości figura Pana Jezusa dźwigającego krzyż. Chrystus ma na głowie cierniową koronę. Jego twarz jest zbita i okrwawiona. Ugina się pod ciężarem krzyża, wydaje się, że lada chwila upadnie.

Grupa pielgrzymów zatrzymała się przed tym ołtarzem i wpatrywała się w zakrwawione oblicze Chrystusa. Jedna z kobiet komentowała: – To bardzo ciężki krzyż, który Jezus dźwiga.

Figura Chrystusa to symbol ubogiego ludu, który dźwiga ciężki krzyż głodu, upokorzenia, krzyż zniekształconych cierpieniem twarzy, przedwczesnej śmierci dzieci, krzyż spracowanych rąk, poniżenia...

Grecki pisarz XX wieku Nikos Kazantzakis zatytułował jedną ze swoich książek „Chrystus ukrzyżowany jest po raz wtóry”.

A ks. Jan Twardowski tak pisał:

Mój Bóg jest głodny,

Ma chude ciało i żebra.

Nie ma pieniędzy,

Wysokich katedr ze srebra.

Nie pomagają mu pieśni i świece,

Ma zapadłą pierś,

Nie chce lekarstwa w aptece.

Bezradni są rząd, ministrowie, żandarmi.

Tylko miłością mój Bóg

Daje się nakarmić.

Obfite u Niego Odkupienie – czytamy w Psalmie 130 (por. Ps 130, 7).

15. Płacę, bo dzieci głodne

Późnym wieczorem, a było to już około godziny dziewiętej, do naszego domu na faweli Pituaçu zapukała zapłakana kobieta. Na ręku trzymała małe dziecko, jeszcze niemowlę, a z boku stała może pięcioletnia wystraszona dziewczynka. – Czemu pani płacze? – zapytałem. Odpowiedziała: – Płacę, bo dzieci głodne. Sama jeszcze dzisiaj nic nie jadłam, ale nie chodzi o mnie, żal mi dzieci. Mężczyzna, z którym żyję, jeszcze nie wrócił do domu, pewnie gdzieś pije.

Może by ojciec kupił te buciki? – Pokazała mi buciki trzymane w ręku. – Chcę je sprzedać, by kupić dzieciom coś do jedzenia.

Powiedziałem do niej: – Niech pani schowa te buciki. Coś się znajdzie do jedzenia w naszym domu.

Przyniosłem z naszej seminaryjnej spiżarki trochę ryżu, fasoli, paczkę kawy, cukier, mleko w proszku. Zapakowałem to wszystko i wręczyłem kobiecie.

– Niech Bóg zapłaci ojcu i wynagrodzi podwójnie! Może jutro otrzymam zapomogę od zarządu miasta, to jakoś przeżyjemy – powiedziała.

Mała dziewczynka stojąca obok patrzyła na mnie z wdzięcznością.

Przypomniały mi się słowa Ojca Świętego błogosławionego Jana Pawła II wypowiedziane w Brazylii: *Naród, który nie dba o swoje dzieci, nie ma przyszłości.*

A Jezus powiada: *Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, uczyniliście dla Mnie* (por. Mt 25, 40).

Z tymi myślami położyłem się spać.

16. Analfabeci ewangelizują

W jednej z dużych dzielnic nędzy w Salvadorze spotkałem pewną pobożną kobietę. Nie umiała ona czytać ani pisać. Przyjechała do Salvadoru z dalekiego rejonu rozległego stanu Bahia. W wiosce, w której dotąd mieszkała, brak było wody z powodu długotrwałych okresów suszy, nie było też dostępu do lekarza. – Tutaj, w dużym mieście, będzie mi łatwiej przeżyć z moją marną rentą – mówiła.

Po osiedleniu się w dzielnicy nędzy zauważyła, że ludzie mało interesowali się sprawami religijnymi i nie chodzili do kościoła. Widziała, jak całe gromady różnych sekciarzy chodziły po domach z Biblią w ręku. „A gdzie są katolicy?” – myślała. Ona sama nie umiała czytać i pisać, nie mogła chodzić z Biblią i ewangelizować.

Pewnego wieczoru, gdy odmawiała Różaniec, przyszła jej do głowy myśl: „Będę chodzić od domu do domu i odmawiać Różaniec z rodzinami”. Następnego dnia po południu zaczęła odwiedzać domy z różańcem. Wielu ją przyjmowało, niektórzy wyśmiewali, ale nie zniechęcała się niczym. Po wielu miesiącach niestrudzonej pracy liczne rodziny spotykały się w domach, by odmawiać Różaniec, śpiewać i rozważać tajemnice z życia Jezusa i Maryi. Modlitwa ta stawała się dla nich pociechą i podporą w trudnym życiu na faweli.

Prosta kobieta, analfabetka, bardzo dobrze zrozumiała nakaz Jezusa Chrystusa: *Idźcie na cały świat, nauczajcie wszystkie narody* (por. Mt 28, 19-20). A ludzie mówili: – To Bóg nam przysłał tę kobietę.

17. Dostatni spichlerz

– Kto z was weźmie na siebie obowiązek nakarmienia głodnych? – zapytał król, gdy głód doskwierał wszystkim w jego kraju.

Bankier spuścił głowę, mówiąc: – Trzeba dużo więcej niż całego mojego majątku, by nakarmić głodnych.

Wódz wojsk królewskich rzekł: – Dałbym chętnie własną krew, ale żywności dla głodnych nie posiadam.

Największy właściciel ziemi w kraju powiedział z westchnieniem: – Susza zniszczyła moje zasiewy i plantacje.

Wtedy wstała córka żebraka i rzekła: – Ja nakarmię głodnych!

– Jak? – zawołali wszyscy ze zdziwieniem. – Jak możesz to uczynić?

Odpowiedziała: – Jestem najbiedniejsza z was i to jest moja siła. Mam swój spichlerz w każdym z waszych domów (R. Tagore).

Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy dźwigacie ciężar krzyża, a Ja was pokrzepię – mówi Pan Jezus (por. Mt 11, 28).

18. Tym, co posiadam, chcę się podzielić

W 1979 roku Bom Jesus da Lapa zalała woda. Rozległa Rzeka św. Franciszka, nad którą położone jest miasto, nie pomieściła wody w swoim naturalnym korycie. Obfite deszcze i

otwarte zapory wodne spowodowały zalanie rozległych rejonów po obu stronach rzeki. W takich krytycznych sytuacjach bogate firmy nie liczą się z sytuacją ubogiej ludności. Dbają o swój interes.

W Bom Jesus da Lapa 15 tysięcy ludzi zostało bez dachu nad głową. Gliniane lepianki w dzielnicy położonej nad rzeką woda zmieniła w bagno. Razem z O. Franciszkiem Mickiem dwoma samochodami terenowymi wywoziliśmy ludzi z zatopionej dzielnicy na wyżej położone suche tereny. Drewniane łóżko, trzciniowa mata, jeden, drugi stołek i kilka okopconych naczyń kuchennych to był cały dobytek rodziny. Nie widzieliśmy materaców, sienników czy bielizny pościelowej. Biedny śpi na twardej macie z trzciny. Na materacach obleczonej wykwinną pościelą śpią bogaci tego świata.

Powodzianom zaczął doskwierać głód. Przyparafialna grupa młodzieży poszła do bogatych sklepów, by prosić o jakąś pomoc dla poszkodowanych powodzian. Niewiele przyniosła. Właściciele wielkich sklepów wymawiali się, że mają trudności finansowe, że czasy są trudne...

Późnym wieczorem zapukała do naszego domu żebraczka. Miała w ręku może kilogramowe zawiniątko: mąkę z manioku.

– Ojczy, przyniosłam trochę mąki z manioku dla powodzian – rzekła.

– A co pani będzie jeść? – zapytałem. – Przecież pani żebrze przy bramie sanktuarium Dobrego Jezusa.

– Mnie pozostał jeszcze kilogram mąki, a tym, co przyniosłam, chcę się podzielić z powodzianami. To niewiele, ale z Bogiem to dużo – powiedziała.

Nie było głodnych wśród nich (Dz 4, 34).

19. Kradzież ziemi

Nieduża wioska o nazwie Czerwona Ziemia znajdowała się w odległości około stu kilometrów od Bom Jesus da Lapa. Ludzie żyli tam spokojnie we względnym dostatku. Miejscowość wzięła swoją nazwę od czerwonego koloru ziemi, która jest bardzo żyzna. W niewielkich gospodarstwach wieśniacy uprawiali fasolę, ryż, maniok, hodowali bydło, przy domach piały koguty.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie sąsiedztwo wielkiego folwarku, którego właściciel mieszkał w Salvadorze, będąc także właścicielem wielkiej sieci sklepów. Człowiek ów, wiedziony nieokiełznaną chęcią zysku, wmawiał ludziom: – Musicie opuścić tę ziemię, drobny rolnik nie wytrzyma sąsiedztwa wielkiej posiadłości. Ja mam maszyny do uprawy ziemi, a wy ze swoimi zagrodami tylko mi przeszkadzacie. Musicie mi tę ziemię sprzedać.

Ojciec Tadeusz Mazurkiewicz, który odwiedzał wioskę i odprawiał tam nabożeństwa, radził ludziom: – Nie sprzedawajcie ziemi. Ona jest wasza! Gdy ją sprzedacie, z czego będziecie żyć?

Bogacz nie dawał za wygraną, wywierał presję na ludzi. Przekupił komendanta policji i sędziego powiatowego. Przyjechała policja, strzelając między domami, zamykając chłopów w zaimprovizowanym więzieniu.

– Nie sprzedawajcie ziemi! – nalegali ojcowie misjonarze w czasie każdej wizyty duszpasterskiej.

Piszący te słowa pewnego razu został zaatakowany przez uzbrojonych w rewolwery zawodowych morderców, nasłanych przez bogatego właściciela folwarku, pod zarzutem, że podburza ludzi.

Chłopi nie wytrzymali presji. Jeden po drugim zaczęli sprzedawać ziemię i szli do miast, na tułaczkę i na wegetację w dzielnicach nędzy.

Jan był jedynym gospodarzem, który się opierał: – Nie sprzedam ziemi, jest moja!

Pewnego popołudnia przed jego dom zajechał właściciel sąsiedniego folwarku z czterema uzbrojonymi zawodowymi mordercami. Związali Jana. Wrzucili go do terenowego samochodu i wywieźli w bezludne miejsce. Tam go pobili, łamiąc mu dwa żebra, i dali do podpisania czysty arkusz papieru.

– Podpisz, bo inaczej cię zabijemy! – grozili.

– Co miałem zrobić? Podpisałem – opowiadał później.

Właściciel folwarku wypełnił podpisany przez Jana papier. Była to umowa sprzedaży ziemi. Przekupiony sędzia uwierzył w umowę i w ten sposób Jan został bez ziemi.

Nie poszedł jednak z rodziną do dzielnicy nędzy wielkiego miasta. Pozostał w naszym rejonie i nadal był twardy i nieustępliwy, domagając się reformy rolnej i poszanowania własności.

Był niewygodny dla latyfundystów. Pewnego razu urządzili na niego zasadzkę i zamordowali go. Krew Jana wsiąkała w ziemię, o którą walczył. Dlatego też ludzie mówią: – Jan to nasz męczennik.

Błogosławieni, którzy walczą o sprawiedliwość, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie (por. Mt 5, 10).

20. Nie wypuszczę z rąk tego kielicha

Był młody. Wiedziony ideałem misyjnym, „nie radząc się ciała i krwi”, opuścił Ojczyznę, by pracować na misjach, wśród ubogich. Zderzenie z rzeczywistością było okrutne. Tropikalny klimat, inny język, odmienne zwyczaje i kultura, nędza społeczna uderzyły w jego psychikę. Tęsknota za Ojczyzną, za swoimi głęboko raniła duszę misjonarza. Wydawało się, że wokół niego wytworzyła się pustka. Szukał Ojczyzny, przyjaznego domu, życzliwego serca. Piękne kobiety o kawowym kolorze skóry pociągały. Inność zaciękała.

Będąc z dala od kultury i tradycji religijnych swojej Ojczyzny, zakochał się.

– Ty jesteś mój – mówiła mu kobieta.

– Ja nie jestem twój – odpowiadał.

Walczył, jego serce krwawiło. Ludzka natura domagała się swych praw. Myśli kotłowały mu się w głowie. Opuścić kraj, żeby tutaj, na obczyźnie, zamknąć się w małym światku z jedną kobietą, to nie dla niego.

Przewycięzał swoje naturalne tendencje. A gdy odprawiał Mszę Świętą, modlił się: „Panie Jezu, ja Cię nigdy nie wypuszczę z moich rąk”. Wytrwał.

Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia (por. Flp 4, 13).

21. Chrystus Odkupiciel na górze Corcovado

Na całym świecie znana jest figura Chrystusa Odkupiciela na górze Corcovado w Rio de Janeiro. Chrystus z otwartymi ramionami króluje nad miastem, jak gdyby chciał ogarnąć mieszkańców tej wielomilionowej metropolii. Nazywane jest ono „Cudownym Miastem”, ze swoim uroczym krajobrazem, najbardziej luksusowymi hotelami, w których wypoczywają wielcy tego świata.

Pewien pisarz przytacza historię ubożego człowieka z miasta Rio de Janeiro.

Pewnego dnia na górę Corcovado wyszedł ubogi, uklęknął przed figurą Chrystusa Odkupiciela i zaczął swoją modlitwę: „Chryste, Zbawicielu świata, czemu stoisz tutaj, w blaskach światła, które oświetlają Twoją twarz? Popatrz, tam w dole widać dwa różne obrazy miasta. Na niedostępnych zboczach wzgórz mieszkają Twoi wyznawcy. Jest nas ponad cztery miliony i niedługo będzie nas więcej. Mieszkamy w szałasach, a po błotnistych ulicach biegają szczury. Choroby dziesiątkują nasze dzieci. Policja zabija tutaj podejrzanych o narkotyki czy kradzieże. Jesteśmy zabijani bez żadnych wyroków sądowych, tylko dlatego, że jesteśmy biedni. Chryste, zstąp do nas i dziel z nami nasz los!”

Gdyby Chrystus zstąpił do dzielnic nędzy w osobie kapłanów i innych chrześcijan, na pewno ubogi nie stałby się przemytnikiem narkotyków ani komunistą – tak konkluduje pisarz swoją historię.

Główne i najbardziej pilne zadanie polega zatem nie na przeciwstawianiu się ideologii komunizmu czy kapitalizmu, lecz na rozwiązaniu problemu nędzy (René Habachi).

22. Obcy

Czesław Miłosz napisał małą książkę pt. „W poszukiwaniu Ojczyzny”. Gdy przebywał na emigracji w Paryżu, snuł się po ulicach miasta, które nie było jego miastem, i szukał własnego domu. Lecz gdzie był ten dom? Zostawił go na Litwie, gdzie nigdy nie wrócił.

Myślę, że taki jest też los misjonarza w obcym kraju. Nie ma on własnej ojczyzny, gdyż ją pozostawił. Mowę, której się nauczył, może przyjąć za swoją, mimo iż nie jest jego mową. Misjonarz to pielgrzym, tułacz, który szuka ojczyzny trwałej, lecz znajdzie ją dopiero w niebie, gdzie zamieszka na zawsze.

Przystosowanie kulturowe, czy tak zwana inkulturacja, jest bardzo trudne. Wielu misjonarzy, a może nawet każdy z nich, przeżywa szok kulturowy.

Nadmierny wysiłek umysłowy i wyczerpanie fizyczne prowadzą do stanu, który potocznie nazywany jest wypaleniem lub szokiem. Wiemy też, że wiele ofiar wypadków umiera nie na skutek katastrofy, lecz z powodu szoku.

Zwierzęta przeniesione z ich naturalnego środowiska do klatek przestają jeść, rozmnażać się i w krótkim czasie kończą życie. Nawet kwiaty i drzewa w trakcie przesadzania doznają szoku, który prowadzi je do obumarcia.

Misjonarz przeniesiony w obce środowisko doznaje pewnego rodzaju szoku, który może się objawiać często w postaci rosnącej niechęci i podejrzliwości wobec „dziwacznego” ludu, jego sposobu życia i wartościowania. Rosnąca tęsknota za własnym domem, poczucie samotności i apatia w stosunku do otaczającej go rzeczywistości budzą pragnienie powrotu do kraju.

Ale gdyby nawet misjonarz wrócił do ojczyzny po wielu latach pracy, również będzie musiał się przystosować do zmienionych warunków. Tak zwana druga inkulturacja jest jeszcze trudniejsza, gdyż to, co pozostawił on przed laty, gdy wyjeżdżał z ojczyzny, już nie istnieje.

Środowisko, znajomi, współbracia zakonnicy postrzegają go jako innego człowieka. – Jaki on jest dziwny – mówią. Znowu jest obcy we własnej ojczyźnie.

Dlatego też misjonarz musi przejść przez tak zwaną śmierć ogołocenia.

Jezus powiedział: *Jeżeli ziarno pszeniczne rzucone w ziemię nie obumrze, nie przyniesie plonu* (por. J 12, 24).

Victor Frankl, twórca logoterapii, pisze, że *człowiek realizuje swoje życie, nie troszcząc się o to, jak realizować samego siebie, lecz zapominając o sobie samym, by dawać siebie*.

Dekret Soboru Watykańskiego II o formacji misjonarza stwierdza: *Gdy Bóg woła, człowiek powinien odpowiedzieć na to wezwanie, nie radząc się ani ciała, ani krwi, oddając się ciałem i duszą dziełu ewangelizacji. Dlatego powinien być gotowy oddać całe swoje życie powołaniu, wyrzec się siebie i wszystkiego, co dotąd uważał za swoje, i stać się wszystkim dla wszystkich* (por. 1 Kor 9, 22).

Głosząc z ufnością Ewangelię wśród ludów, pozna tajemnicę Chrystusa, w imieniu którego sprawuje swoją misję.

Za św. Pawłem będzie powtarzał: *Nie wstydzę się zgorszenia Krzyża* (por. Rz 1, 16).

Z odwagą będzie szedł za swoim Mistrzem, cichym i pokornego serca. Poprzez życie według Ewangelii, z cierpliwością i łagodnością będzie dawał świadectwo Jezusowi, nawet gdy trzeba będzie przelać krew.

Kto chce zyskać swoje życie, straci je, ale kto straci swoje życie dla Królestwa Bożego, odzyska je (por. Mk 8, 35).

23. Czarny, podwójnie ubogi

W rozmowie z pewną białą Brazylijką, należącą do klasy średniej, ze zdziwieniem usłyszałem stwierdzenie: – Ojczyzna, życie tutaj, w Salvadorze, byłoby przyjemniejsze, gdyby nie czarni, którzy zabrudzili naszą rasę.

W Brazylii rasizm jest zakazany przez konstytucję, która mówi, że istnieje w kraju równość rasowa.

Tymczasem mentalność ludzi białych, zwłaszcza bogatych, jest inna. Traktują oni czarnego jak człowieka niższej kategorii.

Inna biała kobieta żaliła mi się: – Ojczyzna, moja córka wyszła za mąż za czarnego. I dodała: – Czarny, ale dobry.

Czarnemu ludowi, rodem z Afryki, portugalscy kolonizatorzy odebrali tożsamość. Wmówili mu, że czarny to złodziej, leń, że cuchnie, że czarny o grubych wargach, kręconych

włosach jest brzydki. Aż do dzisiaj wiele czarnych kobiet rozczesuje i prostuje swoje włosy, aby upodobnić się do białych kobiet. Wielu czarnych mężczyzn żeni się z białymi kobietami, żeby „wybielić” swoją rasę. Z pokolenia na pokolenie przekazywany jest wśród czarnych kompleks rasowy.

Do dzisiaj 96% pełniących posługi służebne w domach bogatych pań to kobiety czarne. Murzyni mieszkają na trudno dostępnych wzgórzach lub na bagnistych terenach miasta, w byle jak skleconych szałasach. Wraz z obaleniem niewolnictwa czarnemu ludowi dano wolność, lecz nie dano mu środków do życia. Stąd do dzisiaj tuła się on po dzielnicach nędzy na obrzeżach dużych miast. W Salvadorze piękne nadmorskie tereny zamieszkują biali, bogaci ludzie, korzystający z usług czarnych mieszkańców miasta.

W Brazylii historia czarnego ludu była i pozostaje tragiczna. Niewolnik był towarem dla handlarzy i kupców, traktowanym na równi ze zwierzęciem. Przy zakupie niewolnika badano, czy jest on zdrowy, czy ma dobre uzębienie, silne ramiona do pracy. Przywożono ich z Afryki, powiązanych, na przepełnionych okrętach; chorych i niezdolnych do pracy wrzucano do morza.

Przybycie do portu w Brazylii nie oznaczało końca ich smutnej podróży. Sprzedawani na targach, bywali oddzielani od własnych rodzin lub klanów, rozpoczynali następny etap swojej tragicznej podróży.

Wielu niewolników popadało w głęboką depresję. Siadali na ziemi i nie ruszali się z miejsca. Stawali się jak głąz. Było im wszystko jedno, czy będą żyli, czy ich zabiją. Liczni popełniali samobójstwo, mając nadzieję, że przez śmierć wrócą do swojej ojczyzny.

Liczba niewolników przywiezionych do Brazylii w latach 1701-1810 wynosiła dwa miliony. Niewolnictwo usprawiedliwiano potrzebami ekonomicznymi. Bez pracy niewolników upadłaby produkcja trzciny cukrowej, bawełny, kawy.

Kościół katolicki jako instytucja nie podnosił stanowczego głosu w obronie niewolników. Każdy proboszcz miał prawo posiadania jednego konia i dwóch niewolników. Benedyktyni w Salvadorze mieli 1200 niewolników pracujących na ich posiadłościach.

Ojciec Gonçalves Leite, pierwszy profesor filozofii w Brazylii, który twierdził, że niewolnictwa nie da się w żaden sposób usprawiedliwić, został odwołany do Portugalii. A jezuita ks. Miguel Garcia, który protestował przeciw posiadaniu niewolników, również został wezwany do Portugalii jako niezrównoważony psychicznie.

Według panującej mentalności nie wyobrażano sobie funkcjonowania społeczeństwa bez niewolników.

Ojciec Święty błogosławiony Jan Paweł II podczas swoich podróży misyjnych do Afryki dostrzegał i doceniał wartości kulturowe tamtejszych ludów. Otwartość na wartości religijne, radość życia, duch wspólnotowy to wartości, które cechują Murzynów, a które są coraz bardziej zatracane przez kulturę europejską.

Tak kultura afrykańska, jak i czarni ludzie wciąż czekają na wyzwolenie.

Doszedł do Mnie krzyk uciśnionego ludu. Idź i wyzwól go! (Wj 3, 7-8).